

□ Czas czytania: 19 min.

Święty miał świadomość dzieł Bożych dokonujących się w jego oczach w przeszłości, oraz zamiarów Bożych na przyszłość, czego dowodem jest nowy sen – widzenie odnośnie poszczególnych etapów rozwoju Oratorium na Valdocco.

Oglądał w tym nowym śnie owoce Oratorium, stan duszy wychowanków, widział wielu z nich powołanych do służby bożej w Zgromadzeniu Salezjańskim, względnie w stanie świeckim, oraz przyszłość Zgromadzenia.

Sen poprzedzający dzień 2 maja, trwał około 6 godzin. Z nastaniem dnia, ks. Bosko wstawszy zanotował nazwiska niektórych osób widzianych we śnie. Następnie przez trzy kolejne słówka opowiadał go młodzieży.

- Zdawało mi się, że wyszedłem na pole bardzo zresztą piaszczyste i nieurodzajne, będące własnością mojej rodziny, na którym jako chłopak często pracowałem.

Uszedłem już kawałek drogi, gdy napotkałem mężczyznę, lat około 40, słusznego wzrostu, cery smagłej, z długą piękną brodą. Suknia jego sięgająca poniżej kolan, przepasana była w biodrach. Na głowie miał jasne nakrycie. Gdy się zbliżyłem do niego, pozdrowił mnie życzliwie, jak gdybyśmy się od dawna znali i zapytał:

- Dokąd idziesz?

- Idę oglądać to swoje pole – odpowiedziałem zatrzymując się. A ty, co tu robisz?

- Tylko nie bądź zbyt ciekawy. Nie musisz wszystkiego wiedzieć.

- Bardzo dobrze. Bądź jednak łaskaw powiedzieć mi swoje imię, bo widzę, że mnie znasz, a ja sobie ciebie nie przypominam.

- Nie wypada, żebyś wiedział, kto ja jestem. Ale chodź, przejdźmy się razem.

Już po kilku krokach zobaczyłem przed sobą szerokie pole obsadzone figami. Wtedy towarzysz się odezwał:

- Popatrz no, jakie ładne figi. Jeśli chcesz, urwij sobie i skosztuj.

Odpowiedziałem trochę zdziwiony:

- Przecież na tym polu nigdy figi nie rosły.

- Wtedy nie rosły, a teraz rosną.

- Ale są chyba jeszcze nie dojrzałe, wszak nie jest to sezon fig.

- Właśnie, że są już bardzo ładne i dojrzałe. Jeżeli chcesz skosztować, to prędko, gdyż czas upływa.

- Czemu tak nalegasz? Zresztą nie chcę fig kosztować. Wolę je oglądać i dać innym, ale dla mnie nie mają smaku.

- No, jeśli tak, to chodźmy dalej. Pomnij jednak na słowa Ewangelii św. Mateusza, gdzie to Pan Jezus mówił do Apostołów: „A od figowego drzewa uczcie się

podobieństwa: Gdy już gałąź jego staje się miękka i wypuszcza liście, wiecie, że blisko jest lato”. Bliskie, zatem jest lato, skoro niektóre figi są już całkiem dojrzałe. Uszliśmy kawałek drogi, a oto nowe pole obsadzone winną latoroślą. Nieznajomy znów zapytał:

- Może chcesz winogron? Jeśli ci się nie podobają figi, to może zasmakujesz w winogronach?
 - Zjem sobie winogron w swoim czasie w winnicy.
 - No, ale czy nie widzisz, że i te są już dojrzałe?
 - Niemożliwe. O tej porze roku?.
 - Nie ociągaj się, już zaczyna szarżeć. Nie możemy tracić czasu.
 - Po, co się tak śpieszyć? Wystarczy, że wrócę do domu na noc.
 - Trzeba jednakowo byś się śpieszył, gdyż noc już nadchodzi.
 - Jeśli nadchodzi noc, to nadejdzie i dzień.
 - Nieprawda. Dzień już nie nadejdzie.
 - Jak to? Co to ma znaczyć?
 - To znaczy, że zbliża się noc.
 - Ale o jakiej nocy mówisz? Może chcesz mi powiedzieć, bym gotował swoje manatki i wybierał się na drugi świat? Czyżbym już tak prędko miał przenieść się do wieczności?
 - Już zbliża się noc, mało ci pozostaje czasu.
 - Lecz powiedz mi przynajmniej, kiedy to nastąpi.
 - Nie bądź taki ciekawski, *Non plus sapere quam oportet sapere*.
 - To prawda. Coś podobnego mawiała moja matusia, gdy byłem zbyt wścibski.
- Pomyślałem sobie i odpowiedziałem:

- Na razie nie chcę winogron. Poszliśmy wówczas dalej, a doszedłszy do naszego pola, zastaliśmy mego Józefa, który nakładał trawę na wóz. Ten podszedłszy powitał mnie i chciał też przywitać mego towarzysza. Czy to jest twój kolega ze szkoły?

- Nie - odpowiadałem - nigdy go nie widziałem.

Wtedy brat zwróciwszy się do niego, ponownie zapytał nalegająco, kto ty jesteś?.

Ale Nieznajomy nadal nie zwracał na to uwagi. Więc brat pyta mnie znowu o to samo. Wreszcie obydwaj nalegaliśmy na Nieznajomego, by się dowiedzieć, kto on jest, ale on stale powtarzał: *Non plus sapere, quam oportet sapere*, wobec tego brat się oddalił i już więcej go nie widziałem. Nieznajomy zaś zagadnął mnie:

- Czy chciałbyś zobaczyć swoich chłopców i poznać, jakimi są obecnie, czym na przyszłość będą i jak długo będą żyć?
- Ależ tak. Tak. bardzo chętnie!
- No to chodź.

1. Niepoprawni.

Wówczas Nieznajomy wyciągnął, sam nie wiem skąd jakiś potężny aparat, którego nie umiem opisać, mający wewnątrz wielkie koło i postawił go na ziemi.

- Co ma oznaczać to koło? Spytałem.

- Wieczność w ręku Boga usłyszałem odpowiedź.

Nieznajomy ujął rączkę i począł obracać kołem. Wreszcie rzekł:

- Teraz ty, obróć raz.

Gdy to uczyniłem, kazał mi popatrzeć do środka. Oglądałem aparat i zauważyłem umieszczoną wewnątrz maszyny i przytwierdzoną do koła jakby wielką soczewkę, średnicy około półtora metra. Na obwodzie soczewki był napis: HIC EST OCULUS QUI HUMILIA RESPICIT IN COELO ET IN TERRA - oko które spoglądało na niskości nieba i ziemi. Z ciekawością przybliżyłem twarz do szkła i patrzyłem. Co za miły widok.

Wszystkich chłopców Oratorium miałem przed sobą.

- Ależ jak to możliwe - myślałem sobie - dotychczas nikogo nie widziałem w tej okolicy, a obecnie są tu wszyscy moi chłopcy? Czyż nie znajdują się oni w Turynie? Oglądałem się, więc, wokół, ale poza soczewką nikogo nie widziałem. Popatrzyłem tedy pytająco na towarzysza, który jednak polecił mi powtórnie obrócić kołem. Teraz zobaczyłem chłopców porozdzielanych, osobno dobrych, a osobno niepoprawnych. Pierwsi promienieli radością, drudzy, których na szczęście nie było wielu, wzbudzali litość. Poznałem ich wszystkich. Jakżeż odmienni byli od tego, jak ich widzieli koledzy? Jedni mieli język przedziurawiony, drudzy oczy głupio wybałuszone, innych głowy były wstrętnie owrzodzone, u innych jeszcze serce toczyły robaki. Boleśnie odczuwałem ich stan i mówiłem sobie:

- Czy to moi chłopcy? Nie pojmuję, co by miały oznaczać te dziwaczne ich choroby. Na te wątpliwości, Nieznajomy takie dał mi wyjaśnienie:

- Posłuchaj: język podziurawiony oznacza złe rozmowy, oczy wybałuszone są u tych, którzy przewrotnie tłumaczą sobie różne łaski boże, a nie doceniając ich przenoszą ziemskie rzeczy nad niebo. Ci z głową pokrytą wrzodami, nie biorą sobie do serca twoich rad, ale dogadzają własnym kaprysom. Robactwo - to brzydkie nałogi, które toczą serce młodzieży.

Na dany znak obróciłem po raz trzeci kołem i spojrzałem w soczewkę. Było tam 4 chłopców związanych grubymi łańcuchami. Poznałem ich. Nieznajomy tak objaśniał mnie dalej:

- Ci nie zważają na twe rady, jeżeli nie zmieniają postępowania, mogą łatwo dostać się później do więzienia.

- Zanotuję sobie ich nazwiska, bym nie zapomniał.

Ale mój przyjaciel zauważył:

- To zbyteczne. Już są zapisane w tym zeszycie. Teraz dopiero zauważyłem w jego

ręku jakiś notes. Znowu polecił mi obrócić kołem. Siedmiu chłopców stało w postawie prowokacyjnej, z wyrazem twarzy nieufnym, a wargi mieli zamknięte kłódką. Trzech z nich zatykało sobie uszy rękoma. Chciałem wyjąć notes, by sobie zapisać ich nazwiska, ale towarzysz nie zgodził się, dając mi do zrozumienia, że są zapisane w jego zeszycie.

Przygnębiony tym widokiem zapytałem, skąd te kłódki na ustach, a on na to:

- Jak to, nie rozumiesz tego? Oni milczą.

- Milczą?

- No, milczą - powtórzył znacząco. I wtedy zrozumiałem, że tu chodzi o spowiedź.

Widocznie zapytani przez spowiednika chłopcy ci nie odpowiedzieli

zupełnie, albo odpowiadali wymijająco lub wprost kłamali, mówiąc „nie”, kiedy było „tak”.

A mój przyjaciel ciągnął dalej:

- Widzisz tych trzech, którzy prócz kłódki na ustach, trzymają jeszcze ręce na uszach, Jakżeż opłakany jest ich stan. Nie tylko zamilczają grzechy na spowiedzi, ale nie chcą słuchać nawet przestróg. Łatwo mogliby opuścić ręce, ale nie chcą. Inni czterej słuchali twoich napomnień, ale z nich nie skorzystali.

- A jak mam postąpić, żeby im odjąć te kłódki?

- *Eiciatur superbia de cordibus eorum*: wyrzucić pychę z ich serc.

- Tak, przestrzegę ich wszystkich, ale co do tych z rękami na uszach, nie mam wiele nadziei.

Tu Nieznajomy dał mi jedną radę, a mianowicie: abym na ambonie jak najczęściej mówił o warunkach wymaganych do dobrej spowiedzi. Bo doprawdy wielka jest liczba tych, którzy potępiają się, mimo że chodzą do spowiedzi, bo spowiadają się źle.

Na dany znak przez mego towarzysza, znowu obróciłem kołem. Teraz zobaczyłem w soczewce trzech innych chłopców, którym na barkach siedziały obrzydliwe małpy z rogami, dusząc ich za szyję, tak, że twarze były wprost sine, a przekrwawione oczy występowały z orbit. Tylnymi łapami trzymały tych biedaków silnie za boki, a ogonem splatały nogi, utrudniając im poruszanie się. Byli to chłopcy, którzy po rekolekcjach nawet pozostali w grzechu śmiertelnym przeciwko VI Przykazaniu. Szatan dusi ich za szyję i nie pozwala im mówić, kiedy powinni, wyciska rumieniec wstydu na twarzach tak fatalny, że zamiast przeszkadzać w złym, prowadzi ich na potępienie.

Pod uciskiem łap diabelskich wychodzą im przekrwione oczy na wierzch i biedacy nie są w stanie dojrzeć własnego upodlenia, ani środków, by podnieść się z tego stanu czując jakąś dziwną odrazę do Sakramentów św. Czart oplata im ciała i płące im nogi, aby nie mogli skierować swych kroków na drogę zbawienia. Są przekonani,

iż wobec przemocy ich nałogowej żądzы niemożliwa jest dla nich poprawa. Zapewniam was, moi drodzy chłopcy, że gorzko zapłakałem na ten widok. Chciałem biec, uwolnić tych nieszczęśliwych, lecz gdy odwracałem głowę od aparatu, znikali sprzed moich oczu. Zwróciłem się przeto ze łzami w oczach do mego towarzystwa i zawołałem:

– Jak to? W takim stanie są ci biedni chłopcy, dla których nie szczędziłem słów ani żadnych starań przy spowiedziach i poza spowiedzią? Cóż oni mają uczynić, aby zrzucić z siebie te wstrętne potwory?

W odpowiedzi Nieznajomy począł szybko i niewyraźnie powtarzać: LABOR, SUDOR, FERVOR.

– Nie rozumiem. Mów wyraźniej.

Znów powtórzył niewyraźnie:

– LABOR, SUDOR, FERVOR.

– To daremne, jeżeli tak będziesz mruczał, to ja nic z tego nie rozumiem.

– A cóż ty sobie chcesz drwić ze mnie?

– Jak uważasz, ale powtarzam, że nic nie rozumiem.

– Ach prawda, wszak ty jesteś przyzwyczajony go gramatyki i do interpunkcji.

A zatem uważaj: LABOR, SUDOR, FERVOR ... rozumiałeś?

– Materialnie słowa rozumiałe, ale potrzeba jeszcze, byś mi je wytłumaczył.

– *LABOR in assiduis operibus* (ciągła praca); *SUDOR in peenitentiis continuis* (stała pokuta); *FERVOR in orationibus ferventibus et perseverantibus* (modlitwa żarliwa i wytrwała). Ale co do tych, których widziałeś, to szkoda zabiegów, bo im miłe jest jarzmo szatana, którego są niewolnikami.

Patrzyłem i gryzłem się sam w sobie swymi myślami:

– Ale jak to być może? Czyż oni wszyscy mieliby pójść na zgubę wieczną i to zaraz po rekolekcjach. Oni, dla których tyle się napracowało, po tylu kazaniach, po tylu radach, jakich im udzieliłem, po tylu obietnicach, jakie mi czynili. Tyle przecież razy ich przestrzegałem, nigdy nie byłbym myślał, że spotka mnie tak gorzki zawód.

I nie mogłem się uspokoić.

Wtedy mój Przewodnik zaczął mnie strofować:

– O patrzcie, jaki pyszny, jaki pewny siebie. A któż ty jesteś, byś miał przypuszczać, że każdy, dla kogo ty pracujesz, musi się nawrócić? Dlatego że kochasz twoich chłopców, to już myślisz, że może ty więcej od naszego Boskiego Zbawiciela kochasz te dusze, więcej pracujesz i cierpisz dla nich. Sądzisz, że twe słowa mają większy wywierać skutek od słów samego Jezusa Chrystusa? Jesteś może lepszym kaznodzieją od Niego? Wszak Apostołowie byli z nim nieustannie, obsypywani byli przez niego wszelkimi dobrodziejstwami, słuchali jego upomnień dniem i nocą, widzieli uczynki Jego i przykłady, które miały być dla nich bodźcem do uświęcenia.

Nie szczędził też Boski Zbawiciel swych upomnień Judaszowi, a przecież Go zdradził i umarł w swej zatwardziałości. Czyś ty może większy od Apostołów? Ci wybrali siedmiu diakonów i to z jak największą starannością, a przecież jeden z wybranych się sprzeniewierzył. A ty wśród 500 chłopców dziwisz się, że kilku nie odpowiada twym staraniom. Dufasz sobie, iż doprowadzisz do tego, by żaden z nich nie był złym ani przewrotnym. Wielki z ciebie zarozumialec.

Zamilkłem na te słowa, ale bólu w sercu nie mogłem stłumić.

– Lecz pociesz się – ciągnął dalej widząc mnie strapionego – i obróć jeszcze raz kołem. Popatrz, jak hojny jest Bóg dla ciebie, patrz, ile dusz chce ci darować. Czy widzisz te tłumy chłopców?

Rzeczywiście ujrzałem w szkłe gromadę młodzieży, jakiej nigdy w swoim życiu nie widziałem:

– O, tak – zawołałem – widzę, ... ale ich nie znam.

– Otóż to ci, których Bóg ci przyśle w nagrodę za owych 14-tu, którzy nie odpowiadają twoim staraniom. Za każdego z tych ostatnich ześle ci Bóg stu innych.

– A co ja pocznę z nimi, kiedy już dom mam pełny? Gdzie ich tylu pomieszczę?

– Nie trap się. Na razie zmieszczą się jeszcze, ale później Ten, który ci prześle, znajdzie dla nich miejsce.

– Nie tyle chodzi mi o miejsce, jak raczej będzie kłopot z jadalnią.

– Pozostawmy żarty na boku, Pan Bóg o wszystkim myśli.

2. Zmowa

Nieznajomy stał przy kole aparatu, podczas gdy ja nie mogłem się nacieszyć myślą, że tylu chłopców przyjdzie do Oratorium. Wtem usłyszałem głos:

– Chcesz zobaczyć jeszcze ciekawe obrazy?

– Owszem, bardzo chętnie.

– Obróć kołem.

Obróciłem i spojrzałem przez soczewkę. Wśród szerokich pól ujrzałem chłopców podzielonych na dwie wielkie grupy. Długi głęboki rów stanowił jakby granicę pomiędzy nimi. Z jednej strony rowu ciągnęły się ogrody warzywne, pola i łąki, a gdzieś w dali widać było rzędy dzikich winnych latorośli. Tutaj właśnie pracowała jedna gromada, obrabiająca grządki i zagony łopatami, kopaczkami, motykami, grabkami wedle potrzeby. Podzieleni byli na grupki mniejsze, z których każda miała swego przewodnika. Główny kierownik wydawał pracownikom potrzebne narzędzia i czuwał, by wszystko odbywało się sprawnie. Ogół chłopców przykładał się z zapałem do pracy, ale nie brakło i opieszałych; jedni niby to uprawiali zagony, ale jakoś nierówno, pozostawiając pełno brył za sobą; innym żelazo ciągle spadło ze styliska; inni znowu trzymali grabie na odwrót i stali bezmyślni.

Z drugiej strony rowu jak okiem sięgnąć złościły się łany dojrzewających zbóż. Gdziekolwiek tylko można było zauważyć kępy drzew rozłożystych, wśród których były zastawione stoły z posiłkiem dla pracujących. Był też niedaleko piękny obszerny park, urozmaicony grządkami i klombami prześlicznego kwiecia. Na tych polach żniwa były w pełnym toku. Przy żniwach pracowała druga gromada chłopców.

Przypatrywałem się temu z prawdziwą przyjemnością. Kierownicy żniwa, których było sporo, rozdawali każdy swoim żniwiarzom, sierpy i co było potrzebne. Niektórych ze zgłaszających się odesłali do ogrodu zbierać kwiaty, słabszym zaś kazali pójść do stołów zastawionych wśród drzew, aby tam posilili się. Nad stołami czuwała przeznaczona do tego służba.

Warunki pracy żniwiarzy były różne; różne też były ich wysiłki: jedni mieli do zżęcia zagony szerokie, drudzy wąskie, tym pracy ubywało, tamci machali sierpem, ale jakoś nadaremnie; ci niedbający, że sierpy zepsute, mierzwili tylko słomą, a doszedłszy do końca łanu, odchodzili i więcej do pracy nie wracali; inni wiązali snopy zabierając przy tym rozsypane kłosa. Byli i tacy, co wyrwali kłosa z pszenicy i palili na między. Nie brakło młockarzy, którzy młócili zboże na klepiskach polowych, a snopy kładli na wóz ciągniętych przez woły. Narzędzia pracy zepsute, szły do naprawy. Czuwał nad tym osobny kierownik, który jedne sierpy dawał do poklepania, inne do wyostrzenia osetką, inne, których końce były złamane, odpowiednio naprawiono. Do naprawek szli osobni pracownicy, między innymi, jeden ślusarz.

Widziałem kogoś, co, mimo iż był dzień słoneczny, chodził z latarką. Paru przygrywało na cytrze, aby uprzyjemnić pracę żniwiarzom. Ale nie brakło i maruderów. Ci z rękami za pasem, przypatrywali się pracującym. Jeden nawet zamiast sierpa trzymał w ręce pistolet, widocznie lubił wojaczkę. Kilku stało niezdecydowanych, jakiej się pracy imać, jeden chciał niby żąć sierpem, cóż, kiedy nie wiedział, jak się go trzyma. Niemało przy tym było takich, co rozchodzili się po krzakach zbierać jagody. Zauważyłem też niektórych, co od łopaty przechodzili do żniwiarzy i na odwrót. Z tych zainteresował mnie zwłaszcza jeden, który od łopaty przybiegł do żniwiarza, ażeby kosić, a zapomniał wziąć ze sobą sierp. Zawstydzony swoją bezmyślnością pobiegł do tego, co sierpy rozdawał, i począł się z nim kłócić. Ten jednakże nie chciał mu dać sierpa mówiąc:

- Jeszcze nie nadszedł czas dla ciebie.
- Właśnie, że nadszedł, ja chcę mieć sierp.
- Nie dostaniesz, idź najpierw do ogrodu i zbieraj dwa bukiety kwiatów.
- Uff, zawołał mały zarozumialec. Mogę zbierać kwiatów, ile zechcesz.
- Nie trzeba dużo, wystarczy dwa bukietiki.

Pobiegł, ale stanąwszy przed grządkami nie wiedział, o jakie kwiaty chodzi. Musiał, więc bieć z powrotem zapytać. Odpowiedziano mu, że ma przynieść kwiaty miłości i pokory.

– Te to już mam.

– Możliwe, ale tylko w swej zarozumiałej fantazji, bo w rzeczywistości, to ci zupełnie ich brak.

Chłopak złościł się, kłócił, zaciskał pięści ze złości.

– Nie ma się, po co tak unosić – odpowiedział kierownik i kategorycznie sierpa odmówił. Zainteresowany nie mógł się uspokoić.

Nie rozumiejąc, co to wszystko znaczy, zwróciłem się do mojego przewodnika po wyjaśnienia:

– Co to za jedni ci, co pracują łopatami?

– Jak to, jeszcze się nie domyślił? Łopatą i grabiami pracuje się tylko dla siebie, a więc są to ci, co nie są powołani do stanu duchownego, ale świeckiego.

W tej chwili dopiero zorientowałem się, że tam pracowało najwięcej tych ze szkoły zawodowej w Oratorium. Dla nich wystarczy, by troszczyli się o zbawienie własnej duszy i nie mają żadnego obowiązku starać się o innych.

– A ci, co pracują przy żniwie, kto oni są? Spytałem.

Równocześnie nasunęła mi się myśl, że to ci, co są powołani do stanu duchownego. I naprawdę pracowali tam prawie wszyscy sami księża i klerycy. Kilku tylko widziałem tam z tych, co obecnie są rzemieślnikami. W ten sposób dowiedziałem się, kto z was ma powołanie kapłańskie, a kto do innego zawodu. Tymczasem mój towarzysz wyjaśnił:

– Owe łany gotowe do żniw, wyobrażają Kościół święty. Plon zebrany, to owoc działalności Kościoła; sierp to symbol środków, jakimi Kościół posługuje się dla swoich celów, a zwłaszcza Słowo Boże; sierp przytępiony, to brak ducha pobożności; zaś sierp z ułamanym końcem, to brak pokory. Ci, którzy opuszczają pole żniwiarzy, to ci, co występują ze Zgromadzenia, czy stanu duchowego.

Ta część snu opowiedziana była 3 maja wieczorem. Nie od rzeczy będzie dodać zaraz, iż ks. Bosko zapytany, mówił tak swoim księżom jak chłopcom, co oni robili w czasie żniw. Oto kilka najważniejszych zajęć: sierpy rozdawał, ks. Provera, co by miało oznaczać, iż zostanie wychowawcą kleryków. Nad stołami miał pieczę kleryk Durando, bo miał szerzyć nabożeństwo do Najświętszego Sakramentu i Matki Najświętszej. Między żeńcami był ks. Francesia i inni, co by oznaczało ich zadanie głoszenia Słowa Bożego. Szeroki zagon ostry sierp, ale ze złamaną rękojeścią, miał Ruffino co by oznaczało jego zdolności, ale przy tym brak pokory. Klepaniem i ostrzeniem sierpów zajmował się Franciszek Cerruti, co wyrażało, iż miał szczepić w

młode serca wiedzę i pobożność. Ślusarzem był Constanzo. Snopy wiązali: Fusero, Turchi i Ghivarello, co oznacza, iż mieli regulować sumienia w spowiedziach, zwłaszcza u kandydatów do kapłaństwa. Wóz ze snopami prowadził ksiądz Rua, z latarką chodził i grał na cytrze mały Albera; zbieraniem kwiatów, najwięcej był zajęty ksiądz Cagliari, który potem zabrał się do młócenia, co symbolizowało nauczanie prostaczków. Układali zboże w mendle – ks. Alassenatti i inni, co oznaczało umożliwienie drugim pracy nad duszami przez zbieranie pieniędzy i wyuczenie modlitw i pieśni pobożnych. Między tymi, co wybierali kąkol, a więc przeszkadzali gorszyicielom byli: Tamietti, Belmonte i inni. Stale ksiądz Boko widział w tym śnie wszystkich swoich współpracowników i chłopców przy różnych zajęciach, bardzo dokładnie symbolizujących ich stan duszy, jako też przyszłą ich działalność. Wiele szczegółów poszło w zapomnienie, wiele nie jest nam dość wyraźnych, gdyż nie znamy bezpośrednio okoliczności życia wszystkich zainteresowanych. Zresztą jest dla nas dzisiaj mniej ważne.

3. Oratorium po 50 i więcej latach.

Gdy już napatrzyłem się dowoli na ową scenę żniw tak urozmaiconą, mój uprzejmy Towarzysz rzekł:

– A teraz obróć dziesięć razy kołem, ale licz dobrze, następnie popatrz.

Począłem kręcić kołem po 10-ym obrocie popatrzyłem w soczewkę. I oto ujrzałem tych samych chłopców, w których znałem prawie od ich dzieciństwa, teraz już jako dojrzałych, o zmężniałym wyrazie twarzy, niektórych z długą brodą, innych już szpakowatych.

– Jakże to – zapytałem – wczoraj były to jeszcze dzieci, że wypadałoby ich prawie na rękach nosić, a tu naraz tak podrosli?

– To zupełnie naturalne – wyjaśnił mój towarzysz. Ile zrobiłeś obrotów kołem?

– Dziesięć.

– A zatem 61- szy rok plus 10, to razem 71. Wszyscy oni liczą już o 10 lat więcej.

– Aaa. Zrozumiałem.

Patrząc ciągle w soczewkę spostrzegłem w dali nieznane mi krajobrazy, nawet zakłady należące do nas i wielu wychowanków pozostających pod opieką moich obecnych ukochanych synów z Oratorium, którzy już jako księża, nauczyciele, dyrektorzy tamtych nauczali i zabawiali. – A teraz obróć znowu dziesięć razy – upomniał mnie Nieznajomy, a znajdziemy się w 1881 roku.

Uchwyciłem za korbkę i obróciłem kołem 10 razy. Ujrzałem już tylko połowę z obecnych wychowanków Oratorium, wszystkich mocno szpakowatych, a niektórych już przygarbionych.

- A gdzie reszta? Spytałem.

- Już przenieśli się do wieczności - odpowiedziano mi.

Tak znaczny ubytek moich był mi nadzwyczaj przykry. Pokrzepił mnie jednakowóż przy tym widok coraz nowych miast, okolic nieznanych, coraz większych tłumów chłopców wychowywanych już przez nauczycieli pod kierownictwem moich dawnych wychowanków.

Znów obróciłem 10 razy kołem i już tylko część widziałem dawnych moich przyjaciół. Byli to już staruszkowie z siwiutkimi włosami.

- A gdzie reszta? Spytałem.

- Już przenieśli się do wieczności. Jesteśmy w roku 1891.

I oto przesuwa się

przed moimi oczyma nowa wzruszająca scena. Moi księża, wycieńczeni trudami, stali w otoczeniu chłopców, których nigdy nie widziałem, a niektórzy byli zupełnie innego koloru skóry niż nasza.

Obróciłem znowu 10 razy kołem i pozostała już tylko trzecia część poprzedniej garstki zgrzybiałych i zmizerowanych. Przypominam sobie, że między nimi widziałem jeszcze księdza Rua, tak postarzałego i wychudłego, że był prawie nie do poznania.

- A wszyscy inni gdzie? Zapytałem smutno.

- Już przenieśli się do wieczności. Jesteśmy w roku 1901.

W wielu zakładach nie poznałem już żadnego z dawnych znajomych. Za to na widnokręgu pojawiły się coraz to nowe zakłady, coraz liczniejszy personel salezjański. Widziałem salezjańskich dyrektorów i nauczycieli całkiem mi nieznanych i coraz liczniejsze rzesze młodzieży.

- A teraz - rzecze mój uprzejmy towarzysz - gdy obrócisz się jeszcze 10 razy, zobaczysz coś takiego, co cię pocieszy, ale i zasmuci.

Zakręciłem znowu 10 razy.

- Oto 1911 rok - zawołał mój Nieznajomy.

O moi najdrożsi synowie. Ileż tam domów nowych widziałem, ilu dyrektorów, nauczycieli, wychowanków, ileż młodzieży mi nieznanej, i to nie tylko z Europy, ale byli tam w ubraniach całkiem odmiennych niż nasze i z różnymi od nas obyczajami. Szukałem pilnie wśród nich mych wychowanków obecnych i spostrzegłem tylko jednego z was, siwiuteńkiego jak gołąbek, pochylonego wiekiem. Otoczony liczną gromadą chłopców gawędził z nimi o początkach Oratorium, o księdzu Bosko, którego portret wiszący na ścianie im pokazywał, wpajał w ich serca to, co wam dziś ksiądz Bosko wpaja. Mówił o dawnych wychowankach, przełożonych, o dawnych, dawnych czasach.

Chłopcy słuchali go z zapartym oddechem.

Znowu na dany znak chwyciłem za korbę i zakręciłem dużo razy. I nie ujrzałem już nic więcej, tylko jakąś obszerną pustynię bez żywej duszy.

- Och, nikogo już nie widzę - zawołałem zdziwiony.

A gdzie ci moi chłopcy tak weseli, zdrowi i rozbawieni, których obecnie mam w Oratorium?

- Już przenieśli się do wieczności. Wiedz, że co dziesiąty twój obrót, dziesięć lat upłynęło.

I obliczyłem, że od dzisiaj upłynęło lat pięćdziesiąt. Tak, że po 1911 roku wszyscy obecni wychowankowie Oratorium już będą na drugim, świecie.

- A może jeszcze chcesz zobaczyć coś interesującego? Zapytał mój życzliwy Przewodnik.

- Owszem - odpowiedział.

- Uważaj, zatem. Jeśli chcesz jeszcze coś zobaczyć, to obróć teraz kołem w przeciwną stronę, a to tyle razy, co przedtem.

Usłuchałem.

- A teraz patrz - zawołał Nieznajomy.

Widziałem przed sobą niezliczoną ilość chłopców nowych dla mnie i nieznanych, o przeróżnych obyczajach, językach i ubiorach. Mimo mojej najlepszej woli, mogłem ich tylko część dojrzeć, bo za nimi były ogromne rzesze wraz ze swoimi przełożonymi nauczycielami i asystentami. Nikogo nie mogę poznać. Rzekłem do Przewodnika.

- A jednak oni cię poznają. To wszyscy twoi synowie i synowie twych synów.

Posłuchaj: mówią o tobie, o twoich pierwszych synach, o pierwszych przełożonych, którzy już nie żyją. Przypominają sobie twoje nauki i cieszą się duchem, jaki im pozostawiłeś.

Przypatrywałem się wszystkiemu uważnie, ale gdy na chwilę odwróciłem się od soczewki, koło poczęło się gwałtownie obracać, i to z takim szumem, że przebudziłem się w łóżku zmęczony.

Komentarz ks. Bosko.

A teraz drodzy chłopcy - kończył ks. Bosko - gdy wam powiedziałem wszystkie te rzeczy, może sobie pomyślicie: Kto wie, ksiądz Bosko to chyba człowiek nadzwyczajny, to z pewnością wielki święty. Moi drodzy, by uprzedzić te wasze sądy o mnie, pozostawiam wam do woli, byście wierzyli lub nie, w rzeczy, jakie wam opowiedziałem. Polecam wam tylko nie ośmieszać ich, ani w domu, ani poza domem. Uważam jednak za wskazane dodać, że Pan Bóg w różny sposób objawia

ludziom swą wolę. Posługuje się do tego nieraz narzędziami najmniej odpowiednimi i niezgodnymi, jak posłużył się oślicą Balaama, która przemówiła, i samym Balaamem, który był fałszywym prorokiem, a jednak przepowiedział wiele rzeczy odnoszących się do przyszłego Mesjasza. Tak samo może być i ze mną.

Polecam wam, zatem, abyście nie tyle patrzyli na moje uczynki, by z nich brać sobie przykład, ale tylko bierzcie sobie do serca to, co wam zalecam, gdyż mam nadzieję, że zawsze będzie to zgodne z wolą bożą i przyniesie pożytek duszom waszym. Nie mówcie sobie nigdy: to uczynił ksiądz bosko, więc to jest na pewno dobre. Nie. Rozważcie moje uczynki. Jeśli widzicie, że są dobre, to je naśladujcie. Gdybyście przypadkiem odkryli coś niewłaściwego, albo nawet złego, strzeżcie się, by tego nie naśladować.

Sen powyższy zestawiał ks. Lemoyne na podstawie kronik księży: Ruffino i Bonettiego oraz zapisków księdza Cagliero i innych naocznych świadków. Sen miał ks. Bosko z 1 na 2 maja 1861 roku. Trwał około 6 godzin.

Z nastaniem dnia, ksiądz Bosko wstawszy z łóżka, zapisał sobie ważniejsze jego punkty i nazwiska osób we śnie oglądanych. Opowiedzenie go zajęło trzy wieczory na słówkach.

Sen dzieli się wyraźnie na cztery części, z których każda mogłaby stanowić dla siebie oddzielną całość. Najmniej dla nas zrozumiała jest symbolika pierwszej części, czyli wstępu, w której ks. Bosko spotyka się z Nieznajomym i ze swoim bratem, a przy tym ogląda sad figowy i winnice, z których jednak owoców nie chce jeść.

Zapytany, co by oznaczała owa „noc”, w której nikt nie będzie mógł pracować, a przez którą w ciągu snu ksiądz Bosko sam domyślał się, że Nieznajomy chce mu wyrazić jego bliską śmierć – i sam oświadczył, że zbliża się śmierć według powyższych snów Zbawiciela: „Nadejdzie noc, kiedy nikt nie będzie mógł pracować”. I tutaj chwilę zamilkł, tak, że to na wszystkich zrobiło wrażenie. Po czym zapytano go, jakby mu można przedłużyć wieczór jego życia. Dosyć interesująca była odpowiedź:

- Dwa byłyby środki to tego:
- pierwszy, ażeby nie miał więcej podobnych snów, które nadzwyczaj rujną mu zdrowie;
- drugi, ażeby ci zatwardzali w złym nie zmuszali Pana Boga, by karał ich grzechy”.

Tyle na temat zbliżającej się „nocy” wyjaśniło się w czasie słówka księdza Bosko.

Nasuwa się, więc wątpliwość, czy przepowiednie zgodne były z rzeczywistością, skoro od tego snu ksiądz Bosko żył jeszcze 27 lat. Otóż kilka razy ksiądz Bosko oświadczył wyraźnie, że od Boga miał wyznaczone 50 lat życia. /Rzeczywiście po 50-ym roku ciężko chorował/, a resztę życia wymodlili jego chłopcy i przyjaciele.

Co oznaczają figi i winogrona?

Ksiądz Bosko tak to wyjaśnił: Figi i winogrona częściowo dojrzałe, częściowo nie, oznaczają zdarzenia poprzedzające ów wieczór, a inne, które dopiero nastąpią w Oratorium. Figi zwłaszcza ważniejsze wypadki. Zresztą – mówił dalej ksiądz Bosko – w tym względzie miałbym wam dużo do powiedzenia, ale nie wypada, ażebym wam to teraz mówił, może to poruszę przy innej okazji. Dodam też, iż figi mogły, by być symbolem chłopców już dojrzałych, by ofiarowali się Bogu w służbie ołtarza, albo też tych, co mają przenieść się do wieczności. Nie jest wyraźną rzeczą, dlaczego ksiądz Bosko nie chciał ich jeść. Ksiądz Lemoyne tłumaczy to tym, że mogły one być gorzkie, czyli wyrażać różne nieprzyjemności, jakie miały księdza Bosko spotkać. Owo pole, gdzie ks. Bosko za młodu pracował, to symbol Oratorium, miejsce dalszej pracy księdza Bosko i jego następców.

(MB IT VI, 898-916, MB PL VI, 330-346)